21. kwietnia Nr. 6. Rok 1860.

# CZYTELNIA
## dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1, 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

### Z dziejów literatury XIX. wieku.

I.

**Kilka słów o przeszłości.**

Po powtórnem wyniesieniu na tron Augusta II., udał się Stanisław Leszczyński a z nim i wielu Polaków do Francyi. Tu wychodźcy polscy przyszli w bliższe zetknięcie i poznajomili się z literaturą francuską, rozwijającą się na wzorach starożytnych.

Ale ów poważny, jędrny klasycyzm Greków i Rzymian przestroił się już był we Francyi w nowomodne szaty: wymienił togę na frak galonowany, zapomniał o dawnej prostocie, wysączył wszystkie siły żywotne i przeistoczył się w poezyę dworu, mody i konweniencyi. Literatura francuska błyszczała dowcipem i wytworem zewnętrznym, jak dwór wersalski Ludwika XIV., gdzie się poczęła; jak salony pani Pompadour, Tansin i Jofrin, gdzie wygnana odgłosem myśliwskiej trąbki z przedpokojów Ludwika XV., znalazła przytulisko i dalej się rozwijała w menażeryi dobrze utuczonych poetów i uczonych, przy smacznych obiadach i musującym szampanie, śród zbytku mody i rozwiązłości.

Rodacy nasi olśnieni blaskiem francuskiego dworu, zachwyceni elegancyą tego paryskiego wydania klasycznej poezyi, znęceni wolnością filozofii, rozmarzeni i odurzeni sławą rymotworców i filozofów francuskich, radzi byli powracając do kraju zaszczepiać w ojczyźnie nowe zasady i pojęcia przywiezione z zagranicy. Rzucone nasionka, przy coraz większej ilości prozelitów przybywających z szkoły Lunewilskiej, przyjmowały się i krzewiły powoli w Polsce.

Ks. piar Stanisław Konarski, przepędziwszy dwoma nawrotami lat kilka we Francyi, osiedlił się od roku 1736 stale w ojczyźnie, i oddał się z zapałem poprawie nauczycielstwa i naukowości, oraz wykorzenieniu gnieżdżących się wad w narodzie, przyczyniając się wszelkiemi siłami do zaszczepienia gustu francuskiego t. j. dobrego smaku w poezyi i w literaturze polskiej w ogólności. Wielkie dzieło uczonego zakonnika-obywatela „O skutecznym rad sposobie,“ bijące przeciw nieszczęsnemu *veto* i zrywaniu sejmów, przeszło bez skutku, gdy przeciwnie usiłowania około literatury wynagrodziły się sowitym plonem. Ale niestety Konarski nie przyniósł z obczyzny „pochodni, lecz tylko zakopconą latarkę.“

W drugiej więc połowie XVIII. wieku, zjednawszy sobie już w początkach tego stulecia pojedyńczych zwolenników, począł się rozpowszechniać u nas pseudoklasycyzm francuski, przyozdobiony strojem polskim, ale obcy duchem uczuciom rodzinnym, bez natchnienia, bez wyższych celów nad zabawę i trywialną moralizacyę, nie noszący żadnego znamienia narodowości, okrom mowy i zewnętrznego przystroju.

Umysły i serca tej części narodu, która przewodniczyć powinna reszcie, zobojętniały na wszystko co swojskie, ojczyste, co pozostało po przodkach najdroższą spuścizną. August II. chcąc udawać Ludwika XIV., pierwszy począł się nosić po francusku, a za królem i wielu ze szlachty najbliższej tronowi wzgardziło strojem polskim, zaparło się zwyczajów a nawet wiary ojców. Przywdziano na dworze i w stolicy pudrowane peruki i suknie *à la rococo*, wyrzekając się podgolonej czupryny i poczciwego kontusza, i wyganiając je pod strzechy mniej postępowych dworków wiejskich. Razem z tą przemianą zewnętrzną poszły w zapomnienie i cnoty przodków. Co było podstawą bytu narodu, hart ducha, siła woli, jędrność, gorąca wiara — to zostało teraz własnością już nie ogółu, ale pewnej tylko części usiłującej nadaremnie wywołać zbawienną reakcyę.

Rymotwórcy piszą pochwały na cnoty magnatów. Na świstkach papieru i atłasu sypią się okolicznościowe wiersze, które dały początek przysłowiu: szkoda czasu i atłasu. Spalszczają, tłumaczą, naśladują bez wyboru wszystkie utwory, byle były rzymskie lub francuskie. Na zakończenie licznych półmisków czwartkowych obiadów przygotowują poetyckie wety, przyprawiając je obficie podchlebstwem i płaskim dowcipem, jak Montresor cielesny korzeniem i bakaliami.

Są jednak i w tej epoce mężowie, wyżsi talentem lub uczuciem, których dzieł będących zaszczytem naszej literatury nie godzi się kłaść na równi z tłumem schlebiających pismaków; i o których mówiąc, wyłączamy imiona jak Krasickiego, Karpińskiego i kilku innych.

W początku XIX. w. dosięga możnowładztwo tej francusko-polskiej literatury szczytu doskonałości i potęgi. Liczne zastępy poetów i wierszokletów w gładkich i sentymentalnych tyradach prześcigają nawet francuskie wzory, i zbierają tryumfy i laury. Krytycy, z Horacym i Boalem pod pachą, wielbią w dramacie zrozumiałość, wzorowe prawdopodobieństwo — podnoszą w poezyi gładkość, dźwięczność, cyrklowy wymiar wiersza — rozprawiają wiele o czystości języka, nie bacząc na próżne myśli, na brak gorącego uczucia, prostoty, narodowości — zapominając zupełnie, że prawdziwa piękność i wielkość nie zasadza się tylko na samych prawidłach szkoły, i że czegoś więcej jeszcze potrzeba, by zawładnąć sercem i umysłem narodu.

Słusznie powiada autor cenionego dzieła; *) „Kilkadziesiąt lat małpował Polak, przygnieciony na samodzielności narodowego umysłu poprzedniem wycho-

*) Nowa epoka poezyi polskiej.

„waniem, trzpiotał się i rozumował z Wolterem, dekla-„mował z Kornelem i Krebilionem, płakał łzami Rasy-„na, pędzlem Delila, podnosił ziemniaki do ideału, wzbi-„jał się jendyczem natchnieniem z Janem Chrzcicielem „Rusem i Lebrunem, nucił na słomianych Marona du-„dach rozkosze pasterskiego życia, śród niepogód pol-„skiej strefy, śród nędzy bolesnej polskich włościan.“ Słowem naśladowstwo, francuszczyzna, prawidelność bezduszna grasowały jak zaraza, i skrzywiały nieraz niepospolite talenta. „Łamano powagę wiary i praw „narodowych“ — mówi Syrokomla — a nie śmiano za-„przeczyć nieomylności poetyce Horacego i Boala, du-„chy mocne wyjarzmiały się zpod ewangielii, a nie „śmiały skruszyć jarzma trzech jedności. Stan literatury „w tej epoce jest podobny do stanu narodu, który po „świeżej niby reformie z braku sił umiera — i tu i tam „znikły ożywcze pierwiastki — wiara i narodowość!“

Wielka prawda! — tu i tam zabrakło owych zapasów do życia, owej wewnętrznej potęgi, co kruszy obcą przemoc, co stoi na straży przeszłości i jest rękojmią przyszłości, zagrzewając serca do czynów miłości i poświęcenia. Otrętwiały duchowe siły narodu, zastygły uczucia, i trzeba było ognistych gromów, by rozjaśnić zaćmione umysły; trzeba było stali wrogów, by wykrzesać iskrę z skamieniałych serc.

Przyszły i jedne i drugie. Odwieczna nieprzebłagana konsekwencya, snująca się przez dzieje ludzkości, spoczęła ciężko i na naszym narodzie. Szalony wir maszkarady karnawałowej za Stanisława Augusta przerwała muzyka pogrzebowa; otrząśliśmy głowy z pudru, aby je posypać pokutnym popiołem; obdarliśmy szych złoty z jaskrawych strojów, aby wdziać czarną suknię żałoby. Kiedy ta mozajkowa wieża literatury, do której kamień węgielny, obrobiony francuskiem dłótem, wyłamano z marmurowych ruin starożytnej Romy, pięła się coraz wyżej w górę, coraz się wszerz rozrastała i stroić się poczęła w coraz nowe zagraniczne kwiaty i arabeski, pogardzając literaturą ludową — wtedy czarne chmury pędziły już od wschodu i zachodu, znacząc drogę krwią, pożogą i mogiłami; wtedy w głębi nurtowały już nowe pierwiastki, kiełkowały w ukryciu nowe nasionka, śród bolu i jęku rozpaczy, śród ostatecznego natężenia sił i pozornego konania, by odżyć kiedyś znowu życiem nowem i nieskończonem. Znikła wiara w byt polityczny, materyalny, a rozbudziło się tem żywsze pragnienie duchowego bytu; przestaliśmy mieczem wywalczać laury, a tem goręcej zapragnęliśmy sięgnąć po nie myślą, odżyć duchem! Naród łaknął nadziei, żądał ognia, zapału, natchnienia, i poeci na swe lutnie nowe nawiązali struny. Z zagranicznych podróży wróciliśmy jak rozbitki do rodzinnych stron, by pochwycić ostatni, łabędzi głos ulatającej na zawsze przeszłości, by zebrać dawnej sławy pamiątki, by zachować i ocalić każdą okruszynę minionej świetności. — Nastała nowa epoka w literaturze i w dziejach naszych.

Zamknęliśmy księgę naszej przeszłości, pięknej jak homerowe epos — spełniliśmy pierwsze bierne zadanie naszego bytu. Literatura nasza przeszła dotąd wszystkie fazy rozwoju, historya wszystkie stopnie kwitnienia i upadku, oboje wystawiają obraz zupełny. Teraźniejszość powołuje nas do nowej zupełnie przyszłości — przeszłość została tylko bolesną, ale też i świetną pamiątką. Naród nasz stanął pośród ludów Europy w koronie męczeńskiej, z rozdartem sercem, stary doświadczeniem, okupionem krwią i upadkiem, młody gorącem uczuciem i nadzieją; i rozeszli się synowie jego na wszystkie świata krańce, by apostołować przyszłości i nowym ideom. Poczęły się już odzywać głosy zwiastujące jutrzenkę nowego dnia, kiedy wschód słońca był jeszcze daleko, a tylko krwawe łuny rozświecały grube cienie nocy — lecz nim wstąpimy w ten nowy świat, zastanówmy się jeszcze chwilkę nad przeszłością i przypatrzmy się jej wszechstronniej.

Po pustym i jałowym wieku scholastycyzmu i dzikiej gmatwaninie stylistycznej, po astrologicznych bredniach, po szumnych a bezmyślnych panegirykach, krzewiących się jak chwasty obok gramatyki Alwara; po wieku letargicznego uspienia umysłów, przy odgłosie pochwalnych trąb na cześć szlacheckich splendorów; po wieku, w którym wszystkie ziarna dawniej zasiane uschły i ledwie kilka najpotężniejszych umysłów wypłynąć zdołało nad powszechny zamęt; po takim wieku przyznać musimy, że zwrot nowy, chociaż przyniesiony z obczyzny, był pożądanym i zbawiennym; że cudzym skradzione światło, chociaż nie ogrzewało serca, rozświecało przecież cokolwiek ciemności, nierządem, klęskami i szałem źle pojętej wolności sprowadzone.

Tę epokę francuczczyzny w poezyi uważać należy za konieczną, przechodową, bo nie wolno nam było robić skoków, ale musieliśmy iść krok za krokiem z innemi ludami Europy; musieliśmy dwa razy ugiąć kolano przed obcemi bogami, nim poznaliśmy własne; musieliśmy próbować kilkakrotnie dzwignąć się własnemi siłami, zanim nam się udało nareszcie powstać. Upadliśmy, utraciliśmy byt materyalny, ale odżyliśmy całą potęgą życia umysłowego, silną wiarą w nasze powołanie, głębokiem pojęciem naszego zadania.

Chociaż więc razi uszy nasze w początkach tej epoki francuczczyzny bachancka piosenka: „jedz, pij i popuszczaj pasa“ i wtórująca jej zasada, przeciwna zdrowemu rozsądkowi: „Polska nierządem stoi,“ przyznajemy wszakże, że się w niej pojawiają piękne pierwiastki; że się już budzić poczyna ruch zbawienny, przerywający dawniejszą stagnacyę; że się rozwijają szlachetne zarody — niestety wywołane zbyt smutnemi wypadkami! Postrzegamy z przyjemnością odżywający pochop do rzetelnej pracy, reformacyjne dążności w szkołach i naukach, stowarzyszenia filomatyczne, jakieś niby współzawodnictwo z zagranicą, a szczególniej skrzętną pracę około narodowych dziejów.

Załuski gromadzi dawne księgi i manuskrypta i zakłada bibliotekę, Chreptowicz podaje myśl do utworzenia komisyi edukacyjnej, Hugo Kołłątaj z zapałem rozumnego i ojczyznę prawdziwie miłującego patryoty zajmuje się żywotnemi kwestyami polityki, budzi od stu lat uspioną akademię krakowską do nowego działania i dopomaga Czackiemu w założeniu krzemienieckiej szkoły. Feliks Łojko broni praw polskich, Kitowicz zbiera pamiętniki i kreśli obyczajowe opisy. W dziedzinie nauk przyrodniczych jaśnieją imiona: Kluka, obudwóch Śniadeckich, Poczobuta, Jundziłła i wielu innych.

Polacy zajmujący się czas niejaki plotkami Wersalu, używając chwili obecnej a zapominając o przeszłości, poczynają teraz poznawać siebie samych, zastanawiać się nad własnym bytem, i gromadzić źródła do narodowych dziejów. Jan Albertrandy pracuje w Rzymie, Upsali i Sztokholmie, zbierając materyały do dziejów Polski. Równocześnie biskup Adam Naruszewicz chwyta za pióro historyka, tłumaczy najpierw Tacyta a potem zabiera się do ogromnego przedsięwzięcia, skreślenia dziejów ojczystych na wielką skalę, i już w r. 1780 składa u stóp tronu Stanisława pierwiastki swej pracy.

W innem miejscu znajdziemy sposobność zastanowić się gruntowniej nad znaczeniem jego dzieła, tutaj powiadamy tylko tyle, że Naruszewicz czasów przedchrześciańskich nie ważył się obrabiać i zostawił zebrane wiadomości w manuskrypcie, imając wątek dziejów dopiero od Mieczysława.

Chrześciaństwo i oświata zachodu zburzyły świątynie Światowida, święcona woda zagasiła ognie Sobótek, na gruzach ołtarzów Peruna zasiali apostołowie nowej wiary inne myśli, inne uczucia, a w innych i zarody innego życia. Gallus pojmując rzecz z kapłańskiego stanowiska, wyrzekł uroczyście: że o tych czasach, błędami bałwochwalstwa splamionych, mówić się nie godzi; i odtąd tylko baśnie, w których utonęła prawda jak ziarnko złotego piasku w morzu, zaciemniły przedświt naszych dziejów. Rozwijająca się z wprowadzeniem chrześciaństwa literatura łacińsko-polska, rozsiedlając się pod opieką hierarchii po księgach i głowach uczonych, wygnała ową prawdziwą córę narodu na łąki i pola, w lasy i góry, w serca i na usta wiejskich prostaczków. Zdawało się, że na wieki rozłączyły się te dwie przyrodne siostry — ale nadeszła chwila, kiedy obie podały sobie przyjazne dłonie: sztuka, prostota i narodowość połączyły się znowu razem i odrodziły literaturę.

## Modlitwa dla moich dzieci,

ułożona u grobu ś. Jana Nepomucena w Pradze.

O święty Janie! przy Twoim grobie
Żałosny ojciec oddał nas Tobie!
I prosił dla nas o dobrą sławę,
O męztwo w walce za słuszną sprawę —
I o wytrwałość w trudach cierpienia,
O dar mądrości i dar milczenia.

A o co prosił — od nas daleki
U grobu Twego, u Twojej rzeki:
Niech święty Janie w nas się to ziści —
Abyśmy wyszli od pokus czyści —
I z dobrą sławą przez życie przeszli,
I w niebo patrząc w milczeniu zeszli!

Lub jeżli taka jest Boża wola,
Aby nie jasna padła nam dola, —
Jeżeli życie nam się zasępi,
Jeżli niewinnie świat nas potępi:
Wesprzyj nas wówczas — pociesz w sumieniu!
By krzywdy świata przetrwać w milczeniu.

Niech ta modlitwa, o święty Janie!
Z błogosławieństwem od ojca zlana,
Na zawsze w uściech naszych zostanie
I w pokoleniu będzie podana —
Jako nauka, prośba, przestroga
Ku chwale Twojej i ku czci Boga.

r. 1849. Wincenty Pol.

## Panię pogańskie.

Szkic historyczny
przez
**Karola Cieszewskiego.**
(Dokończenie.)

Krąży orzeł nad polską krainą i ze smutkiem pogląda na trupem zasłane jej pola. Kurzy i dymi się Ukraina; czy ziemia sprawia gody weselne, lub wesoła obchodzi biesiadę? — Oj nie! to dymy sioł spalonych i spustoszonych, a czerwone strugi, co płyną szeroko, to krew polska wytoczona z serc najmężniejszych jej synów.

Bo też krwią zafarbowane wszystkie karty dziejów tych lat. Nieszczęsna wojna z Bohdanem Chmielnickim, klęski pod Korsuniem, Żółtemi wodami i Piławcami, jakże krwawe pomniki!

Wrze Ukraina wojną domową, a zawzięty w swej zemście setnik Czehryński, Chmielnicki, coraz liczniejsze gromadzi w około siebie hufce, coraz zuchwalej podnosi głowę. To się upokarza i do nóg pada królowi i przeprasza, to wszelkie łamie układy i łączy się z tatarskiemi chany, a posiłkowany ich hordami, niszczy i pustoszy kraj własny.

Lat 15 minęło od powyżej opisanych zdarzeń. Zszedł wcześnie ze świata Władysław IV., a z nim i wielkie jego zamiary, a na tronie polskim zasiadł brat jego, Jan Kazimierz. Mężne ma serce i chęci najlepsze, ale czy zdoła nakłonić do jedności i zgody burzliwe umysły nierozsądnych panów?

Zaledwie kilka miesięcy upłynęło od wstąpienia na tron nowego króla, a już szatę pokojową przemienić musi na wojenną zbroję. Jeszcze nie zastygła krew na Piławieckich przelana polach, a już świeża dymi się koło Baru i Tarnopola.

Z dumną pokorą przyjmuje zuchwały Bohdan przysłane mu przez króla oznaki hetmańskie, z uszanowaniem schyla głowę przed nowym królem i zawiera w Pereasławiu przymierze, a w kilka miesięcy potem chorągiew rokoszu powiewa znowu na ukraińskiej ziemi.

Pod Konstantynowem skupia się szczupłe wojsko polskie: ale cóż zdziałać potrafi dziesięciotysięczna garstka przeciwko dwadzieścia razy liczniejszemu nieprzyjacielowi? Cofa się dowodzący hufcem polskim Firlej pod Zbaraż, i tam się okopuje.

Piękny i jasny był dzień, bo w pierwszej połowie lipca. Bujno zieleni się step, ale żyznym jego szlakiem nie ciągnie roboczy wieśniak z piosenką na ustach, tylko się sypie nieprzyjazna Polsce czerń liczna; bo przeszło dwakroć stotysięcy głów. Zuchwałe kozactwo, zbuntowani przez Bohdana chłopi, liczne wojsko tatarskie, wszystko to z wrzaskiem i odgrażaniem ciągnie pod gotujący się do obrony Zbaraż.

Zbrojnym wałem otoczyli w około garstkę broniących się w nim Polaków; trzoda wilków zgłodniałych mężnego napadająca lwa.

Bohatersko bronią się obleżeni: 20 szturmów odbito pomyślnie, w 75 wycieczkach garstka walecznych rycerzy mordowała liczne nieprzyjaciół szeregi, ale wróg drugi stokroć straszniejszy, głód okropny, zwala z nóg zwątlone ich ciała. Już wszystkie wyjedzono szczury, psy i koty, zarażone powietrze od niegrzebanych trupów, zatruta woda stawu, a tu srogi Bohdan wszelkie odrzuca układy, jeśli mu nie wydadzą na mściwą pastwę księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, Aleksandra Koniecpolskiego i innych panów ruskich. Z dumą odrzucają szlachetni obrońcy hańbiące warunki i gotują do ostatniej bronić się krwi kropli.

Krwawo zachodziło słońce 15. sierpnia 1649 roku, i jakby ołowiana chmura cięży duszne i gorące powietrze nad uciśnionym Zbarażem. Niby cienie zmarłych przechadzają się dzielni jego obrońce po zatrutym obozie: blade ich twarze, zarośnięte brody, zwątlone ciało pod ciężką ugina się zbroją, na hardych jednak licach ani jeden rys trwogi nie zatarł wyrazu odwagi i męztwa. Czy sądzi kozacka tłuszcza, że złamie hart duszy Polaka?...

Noc ciemna okryła ziemię; wesoło tleją ogniska nieprzyjaciół, w obozie polskim ciemno jakby w grobie. W tem strzała zza obozu puszczona z świstem przerzyna powietrze i tętniąc uderza o stalową zbroję księcia Jeremiego. Budzi się zdrzymany bohater i z zdziwieniem krwawego podnosi gońca — na strzale zatknięty był list, a w liście wieść radosna: król Kazimierz ciągnie na odsiecz na czele 20.000 wojska.

*

Powoli zbierał się król. Pod Krasnostawem bawiąc rozesłał uniwersały na pospolite ruszenie i zewsząd gromadził wojska. Ufni bowiem w swą siłę Polacy lekce sobie ważyli nieprzyjaciela i nie spieszyli się bardzo, a chociaż wzięci w niewolę jeńcy opowiadali królowi, że chan tatarski z licznem wojskiem posiłkuje Chmielnickiego, Polacy nie chcieli temu wierzyć i byli przekonani, że za ich ukazaniem się butny Chmielnicki się upokorzy i błagać będzie na kolanach o przebaczenie swej winy. Gdy jednak coraz bardziej niepokojące od Zbaraża nadchodziły wieści, przyspieszył król jegomość swój pochód i 15. sierpnia pomknął się ku Zborowi.

Nad krętą Strypą, wspaniałego Dniestru córą, pół mili od Zborowa, rozłożył się obóz wojsk polskich, a w nim, w namiocie królewskim, uroczyste odprawia się nabożeństwo, bo to dzień Wniebowzięcia N. P. Maryi królowej Polski. Skupione w około królewskiego namiotu wojsko w pokornem milczeniu słucha mszy św. i naprzód cieszy się wygraną, bo pewne właśnie doszły ich wieści, że strwożony Bohdan razem z sprzymierzonym chanem odstąpili od oblężenia Zbaraża i pomknęli się ku Tarnopolu. Postanowił korzystać z tego król jegomość, przeprawić się na drugą stronę Zborowa, a nazajutrz ruszyć w trop za ustępującym nieprzyjacielem.

Dzień był mglisty, posępny i dżdżysty. Po nabożeństwie zaczęło się przeprawiać wojsko, lecz błotne i ciasne było przejście przez groblę Zborowskiego stawu a wozów i ciężkiej armaty mnóstwo, powoli więc tylko i krok za krokiem mogło postępować wojsko. Zniecierpliwiony król, bezpieczny odwrotem nieprzyjaciela, nie czekając na wozy, przeprawił się z częścią wojska przez miasteczko ku Jeziernej, część druga zostawiona w tyle, idąc powoli prawie na milę wzdłuż się rozwlekła.

W tem dają znać, że w niezliczonej liczbie nadciągają Tatarzy i Turcy. Popłoch ogromny wszczął się w obozie, do którego przyczynił się nie mało niechętny Polakom lud okoliczny. Zbuntowany bowiem przez Kozactwo, chociaż wiedział, iż Tatarzy kryją się w lesie, nietylko nie uwiadomił o tem króla, ale przeciwnie z wierzchołków drzew dawał znaki nieprzyjacielom, a nawet dzwonów miasteczka do umówionych używał sygnałów; podczas gdy sam Chmielnicki siedząc na dębie w rozciągającej się w pobliżu Zborowa dębinie, śledził ruchy wojska polskiego i najsposobniejszej do ataku upatrywał chwili.

Tym sposobem wiedział o wszystkiem chytry Bohdan i wypadł właśnie w chwili przeprawy Polaków przez groblę, gdy rozdzieliły się na dwoje ich siły; podczas gdy ci fałszywą wieścią o jego odwrocie i mgłą nieprzejrzystą uwiedzeni, ani go się spodziewali. Całe też wojsko najniekorzystniej było rozproszone: bo osobnym obozem stało pospolite ruszenie Przemyskie, osobnem pospolite ruszenie Lwowskie z 1500 ludźmi pana wojewody Krakowskiego, z pułkownikiem Koryckim na czele. A i wozów mnóstwo stało porozpraszanych po błoniu, które się jeszcze były nieprzeprawiły.

Widząc to nieprzyjaciel, z całym impetem wpadł na tylne i najmniej do obrony gotowe szeregi, które się jeszcze były nie przeprawiły, uderzając najprzód na oddział p. wojewody Krakowskiego, stojący pod Meteniowem.

Niewzruszony jednak stoi wódz jego, pułkownik Korycki ze swoimi, i broni przeprawy przez Strypę. Potrójnym łańcuchem rzuca się w wodę Orda i już na drugi wdrapuje się brzeg — ale i mężny pułkownik posiłkowany ze wszech stron broni się zapamiętale i drogo zamyśla okupić swe życie.

Krwawy wszczyna się bój. Z niezwykłą natarczywością uderzają Tatarzy, dzielnie jak zawsze bronią się Polacy i dziesięćkroć liczniejszemu opierają wrogowi; jeden rycerz przeciwko całej walczy czeredzie. Leją się krwi strumienie, rozwścieklone ścierają z sobą postacie. Huczą armatnie kule, brzęczą pałasze i miecze, świszczą strzały, krzyk i wrzawa napełnia powietrze, a nad tem wszystkiem mgła nieprzejrzysta, w której cieniach, jakby w piekieł otchłani, z szatańską zajadłością człowiek morduje człowieka.

Lecz i silnego niedźwiedzia pokona psów gromada. Cofa się pułk Xcia Ostrogskiego, którym mężny dowodzi pułkownik, a szczupły orszak Polaków zalewa liczna nieprzyjaciół zgraja. Z bronią w ręku leżą trupy walecznych Tyszkiewiczów, Czetwertyńskiego księcia, Rzeczyckiego, starosty urzędowskiego, Czarneckiego obożnego i znacznych urzędników, rotmistrzów i towarzyszów mnóstwo, a po ich ciałach dziki najezdnik dalszą sobie toruje drogę. Strwożona czeladź odbiega wozów i w bezładnej prześciga się ucieczce, zostawiając na sztych powierzone sobie bagaże, które porzucone na moście, jedyną przez staw tamują przeprawę.

Niepodobna przesłać posiłków, bo droga zatarasowana i niemożliwa na drugą stronę przeprawa, a Strypa choć nie szeroka, ale głęboka i wysokie jej brzegi, do tego ulewnemi deszczami wezbrana bardzo i tylko most jedyny zostawiła na niespokojnym swym grzbiecie. Trzeba się więc bronić, lecz obrona próżna przeciwko tak ogromnej przemocy. Już i dzielny Kowalski chwieje się na białym koniu; spada na ziemię odrąbana prawica, on lewą chwyta za chorągiew i dalej naciera — Tatarzy pozbawiają go drugiej ręki, a dzielny młodzieniec choć runął na ziemię, trupem jeszcze swoim przywala powierzony sobie sztandar.

Po drugiej stronie miasteczka, ku Jeziernej, sam król z mniejszą częścią wojska szykuje swe siły i prowadzi do boju, obsadziwszy skrzydła piechotą i dragonią, centrum zaś chorągwiami Kozackiemi i piechotą Ubaldową, z dwoma hussarskiemi chorągwiami i oddziałem pana starosty Kałuskiego.

Licznemi pułkami, z pól i dąbrowy, z całą swą siłą zachodzi Orda, w jeden skupia się punkt, i całą potęgą uderza w czoło polskiego wojska. Chwieje się prawe skrzydło, lecz dzielnie się odstrzeliwa — Orda mija środek i z chanem na czele jak chmura niezmierna zbitej w kłąb szarańczy, z natarczywością na lewe rzuca się skrzydło. — Czy car Krymu z złocistej czary chce się napić cennej krwi królewskiej?

Padają na wstępie powalone strzałami trupy Gdeszyńskiego Marka i Pozowskiego — przejęte trwogą cofają się chorągwie polskie. Krwi zakosztowawszy leci naprzód Orda, a dzikie okrzyki *hałaj! Allah! Allah!* z stutysięcy gęb wyrzucone, nieopisaną wrzawą napełniają powietrze. Cofają się Polacy, Tatarzy nacierają, mordują i sieką, i wałem trupów znaczą krwawą swą drogę.

Czy przekleństwo boże spoczywa na rycerstwie polskiem, że zwykłemu nie dowierza dzisiaj męstwu? Czy księżyc islamu skruszy krzyż chrześciaństwa i na polskiej rozgości się ziemi? — bo szczupłe wojsko polskie liczne i krwi chciwe otoczyło pogaństwo, i wkrótce może wnuk Jagiełłów więźniem przed krymskim stanie chanem.

Lecz nie łatwe do strwożenia serce posiada król mężny niemężnych dzisiaj Polaków. Ani na chwilę nie zsiada z konia, sam szykuje, ustawia roty, wiedzie do boju. Niezmordowany, na największe naraża się niebez-

pieczeństwo; w pośrodku najgęstszych strzał, gdzie najzaciętszy toczy się bój, widać wszędzie stal lśniącą królewskiego hełmu. Z dobytym rapirem przebiega strwożone hufce, zachęca, pociesza, chce zabijać uciekających, własną ręką chwytając ich za wodze i nawracając uciekających, i z rozpaczą prawie prosi i zaklina: „Nie odstępujcie mię panowie, na miłość Boga nie odstępujcie!“

Trzyma się walecznie jedna i druga chorągiew kozacka i rajtarya królewska, a i piechota stoi jak mur i przyczynia się nie mało do odparcia nieprzyjaciela, bo co się Orda za naszymi w obóz zagarnie, to ją piechota odpiera i strzelbą razi.

Próżne jednak wysilenia pojedyńczej odwagi. Od przewagi tatarskiej przełamani, pierzchają Polacy, i gdyby nie przytomność i osobista odwaga króla, byłaby się powtórzyła nieszczęsna klęska Pilawiecka.

Na szczęście zapada noc. Pomimo że zwycięzcy, umykają z pola Tatarzy, a i wojsko polskie odchodzi do swego obozu. Tylko na placu boju stos trupów się wznosi, i krew polska z tatarską szeroką płynie strugą: krew to Czetwertyńskich, Swierskich, Kaszewskich, Chocimirskich i mnóstwo innej rycerskiej młodzi, lecz czy okupi zwycięztwo strwożonym hufcom? Bo nieprzyjaciel zabójczą wstęgą opasał obóz polski, a garstka broniących się w nim mała i na duchu upadła *).

Lecz i noc nie przyniosła oczekiwanego wytchnienia ani spokoju. Przeciwnie: jakby zły duch opanowała wszystkich nieopisana trwoga — dziw boży, że z ogólnego tego zamieszania i popłochu nie korzystał zwycięzki nieprzyjaciel.

O ile możności otaborowano i ubezpieczono obóz, lecz wewnątrz gorszy od Tatara grasuje wróg. Rotmistrze opuszczają chorągwie, do tysiąca rycerstwa w sromotnej ucieczce odbiega obozu i króla, szerząc popłoch fałszywą wieścią, że króla nie ma w obozie. Dowiedziawszy się o tem Jan Kazimierz, chociaż upadający prawie pod trudami dnia tego, wsiada na koń, każe zapalać pochodnie, i w towarzystwie kilku panów objeżdża obóz, prosząc i zapewniając:

„Nie uciekajcie wy odemnie, ja od was pewnie nie ucieknę, raczej tu polegnę razem z wami!“

Uspokoiło to umysły trwożliwych, i dalszą wstrzymało ucieczkę. Z większą otuchą jęto się przygotowywać do jutrzejszego boju, król zaś udawszy się do swego namiotu, zgromadził w około siebie przedniejszych panów do wspólnej narady.

— Postąpmy ku oblężonym Zbaraskim i ich przynajmniej ratujmy — mówił p. Stanisław Witowski, wojewoda sędomirski.

— Albo ruszajmy ku Lwowu — dorzucił Kisiel, wojewoda Czernichowski.

— Rzućmy się na nieprzyjaciela i przebojem utorujmy sobie drogę! — zawołał mężny podkanclerzy litewski Sapieha, ściśnioną pięścią chwytając za rękojeść szabli.

— Mężna rada, ale nie do spełnienia — odrzekł król. Pobłądziliśmy panowie — dodał z westchnieniem — zanadto lekko braliśmy tych chłopów, nie spodziewając się tatarskiej pomocy. Pod rozkazami naszemi same tylko pospolite bije się ruszenie, szlachty mało. Zajęci ślubem, zapoźno wydaliśmy uniwersały.

— Gdyby było liczniej szlachty, skromniejsi byliby Kozacy! — dodał podkręcając wąsa Kisiel.

— Jeszcze jest jedna przyczyna miłościwy królu, która utrudnia nam sprawę — przemówił po chwili Sapieha. — Niepotrzebnie przed trzema właśnie dniami zaczepiliśmy Chmielnickiego, deklarując go zdrajcą i nieprzyjacielem ojczyzny, a Zabuski nie bardzo nawet wart powierzonej mu miasto Chmielnickiego buławy.

— To zbieg! — zawołał gorąco kąpany p. wojewoda Podolski, Stanisław Potocki.

— Gdyby nie to, zuchwały Kozak nie byłby śmiał powstawać tak odważnie — dorzucił p. Kisiel — teraz złość nim kieruje.

— Ha, stało się! — odrzekł król smutny. — Teraz nie czas żałować tego, co się nie może odstać, radźmy raczej, co na przyszłość czynić wypada.

— Wybić do nogi Tatarów! — zawołał p. Potocki, a co mówił, mówił szczerze i z przekonania.

— Rada byłaby dobra, gdyby każdy z nas był stugłowym smokiem — odrzekł król, patrząc z uśmiechem na śmiałego doradzcę — lecz tak...

Wtej chwili, gdy najsilniej spierają się zdania, wchodzi do namiotu kanclerz wielki koronny i wódz wojska, sędziwy Jerzy Ossoliński.

— Nasza najlepsza rada! — przemówił król radośnie na widok wchodzącego — cóż nam przynosisz panie kanclerzu?

— Wieść o widzeniu, które miałem tej nocy — przemówił poważnie p. Ossoliński.

— O widzeniu? — pytali ciekawie obecni, przysuwając się bliżej do mówiącego.

— Zmęczony i zgryziony bardzo — jął opowiadać p. kanclerz — zamknąłem się w mojej karecie i począłem się modlić. Podczas modlitwy usnąłem, i dziwne miałem widzenie. Oto mniszka domu mojego, która ukazuje się zawsze w rodzinie mojej w ważnych okazyach, *visibiliter* stanęła przedemną i powiedziała mi, abym się nie frasował w tej tak ciężkiej potrzebie, ale w Bogu położył nadzieję a starał się o rozmowę z Sefer Kasi Agą, wezyrem chana, i proponował mu układy z jego panem. Porwałem się ucieszony i przychodzę tu oto z opowieścią co mi się zdarzyło, i prośbą do miłościwego króla, pana mego, aby nie pogardzał niebieskiemi znakami *).

— Zwłaszcza przez tak miłych objawionemi posłów, jak ładna zapewne mniszka! — ozwał się ze śmiechem p. Potocki.

Pobożny król skarcił wzrokiem mówiącego, a p. kanclerz odezwał się na to:

— Nie śmiejcie się panowie! Zsyła Bóg w swej łasce ludziom znaki niebieskie, któremi pogardzać nie należy. Nie odrzucaj mojej prośby, miłościwy królu. Poszlijmy do chana z listem i ofiarowaniem pokoju i przyjaźni, aby go nakłonić do odstąpienia Chmielnickiego, inaczej nie wiem, co nas wybawi z tej nieszczęsnej toni.

Długi czas toczyła się o tem narada; jedni byli za tem, drudzy upatrywali w tem ujmę królewskiego majestatu, nakoniec jednak — chociaż nie wszyscy wierzyli w widzenie — przyjęto radę p. kanclerza, z tak świętego pochodzącą źródła, do której i król jegomość się skłonił. Prośba panów zniewolony, napisał list do chana, który niezwłocznie odesłano.

A gdy odeszli panowie radni, król stroskany rzucił się na kolana przed obrazem Matki Boskiej, wziętym z bełskiego klasztoru ojców Bazylianów, i błagając gorąco patronkę Polski o wybawienie z toni poruczonego mu kraju, leżał krzyżem noc całą.

---

*) Szczegóły o oblężeniu Zbaraża i bitwie pod Zborowem z Kochowskiego, Jemiołowskiego, Krajewskiego, Pamiętników X. Albrychta Radziwiłła, mianowicie zaś z rękopismu biblioteki Ossolińskiej: Kopia listu do Imci pana Starosty trembowelskiego z obozu pod Zborowem d. 23. sierpnia 1649 — którego odpis udzielił mi łaskawie z zbiorów swoich pan S. Przyłęcki. P. A.

* Rozmowy zmarłych Polaków. W Bibliotece polskiej wydawanej przez J. K. Turowskiego. Sanok. 1856. P. A.

Opodal od Zborowa obozuje chciwy Krymu car. W około namiotu chańskiego stotysięcy tatarskich spoczywa głów: najbliżej rozłożyły się hordy budziackie, perekopskie, nogajskie i dobruckie, dalej łupu chciwi Bessarabii synowie i Petyhorcy Czerkasowie. Lecz i turban islamu na 6000 wije się głowach — to sylistryjskiego baszy horda, która razem z gromadami Karałasów, wysłanych przez hospodarów wołoskiego i multańskiego, długim szlakiem polską obsiadła ziemię.

A w pośrodku, w bogatym namiocie, darze sułtana Carogrodu, skrzyżował nogi siwobrody pan wszystkich tych hord i odprawia nabożnie modlitwy namazu.

Wszak znamy tę twarz śniadą, chociaż czarny włos jej brody, ozdoby dość rzadkiej u Tatara, starości przypruszył szron. To Islam Giraj, więzień z pod Bursztyna, a teraźniejszy Krymu chan. — Czy tak bardzo zasmakował mu chleb polski, że go chce spożywać polany krwią tych, co go niegdyś gościli przyjaźnie?

Bije chan przepisane pokłony, siwą kiwa głową i przewiędłemi usty szepcze modlitwy koranu, na cześć wielkiego Allaha. A raduje się Allah i przyjmie modlitwę sługi, bo z tysiąca trupów chrześciańskich ułożył mu ołtarz ofierny i razem z ich krwią dymiącą zasyła modlitwy swe. — Wielki jest Allah, a niegodne tylko narzędzie nikczemny sługa jego!..

W tem cicho rozsunęła się ściana namiotu, i z pokorą niewolnego służalca wszedł Dujnał, ulubieniec chański i towarzysz w polskiej niewoli.

— Wielki jest Allah! — przemówił z cicha i ucałował brzeg szaty Islama — wielki jest także potężny sługa jego, Krymu wszechwładny pan. Uciśniony król polski szle posły swe, które błagają o rozmowę z wielkim Islam Girajem.

— Niech wnijdą! — z powagą przemówił Islam.

I wszedł do namiotu chana jeniec tatarski, wysłany od Polaków z listem do Islama Giraja, a zbliżywszy się do majestatu chana, z pokorą ucałował proch przed stopami jego i oddał mu pismo od polskiego króla.

List ten następującej był treści:

„Mając wiadomość, że jesteś pamiętny na dobrodziej-
„stwa najjaśniejszego Władysława IV., króla polskiego
„(który z Bogiem odpoczywa) P. brata naszego, który że do-
„syć łaskawie się z tobą obchodził i dobrodziejstwa ci różne
„pokazował, a na ostatek gardłem cię i wolnością darował,
„zaczem i państwa tego doszedłeś. Dziwujemy się, że
„nie pomniąc na to dobrodziejstwo najjaśniejszego Wła-
„dysława brata naszego króla polskiego, gdy My chce-
„my uspokoić państwa nasze, przywiązałeś się do tego
„rebelizanta naszego i na wojska nasze nastąpiłeś; i
„lubo P. Bóg dziś ci niepobłogosławił, atoli my chcie-
„liśmy się ozwać z przyjaźnią Naszą i przypomnieć
„dobrodziejstwa brata naszego. Życzymy zatem zdro-
„wia dobrego i długiego panowania.

Joannes Casimirus Rex".

Śmiała się twarz Islama, gdy czytał pismo dumnego polskiego króla, i blaskiem zadowolenia rozświeciły się twarde jej rysy. Gdy dokończył rozpoczęte modlitwy, zadumał się głęboko pan namiotu, list odebrany położył obok siebie, i wsparłszy głowę na wezgłowiach, czas długi zostawał w milczeniu. — Czy owiały go wspomnienia lat dawnych i przypomniały mu winną wdzięczność dla najechanego zdradziecko sąsiada? czy tylko zagrała w nim chciwość łupieżcy i nadzieja drogiego okupu?

Tą razą szlachetniejsze uczucia kierowały duszą Islama: Tatarzyn zaparł się Tatarzyna i mile zamarzył o ubiegłych latach niewoli. Stanęło mu na myśli łaskawe obejście, którego doznawał, gościnność i serdeczność Polaków, a i krasne oczy urodziwych Polek jak gwiazdy niebieskie zaświeciły w myśli siwobrodego chana. Wsparł głowę na rękach i — najeźdzca, zamarzył z miłością o najechanym narodzie.

A jeniec skulony, przygnieciony obecnością wszechwładnego cara, stał drżący w rogu namiotu. Skinieniem rozkazał mu wyjść Islam Giraj, i tylko ulubiony Dujnał pozostał w namiocie.

— Król polski wymawia mi niewdzięczność i ofiaruje mi przyjaźń swoję — przemówił chan poufale do powiernika swego. — Wielki jest Allah i łaskaw na niegodnego sługę swego!

— Wielki jest Allah! — powtórzył chyląc głowę Dujnał.

— Ale dla czegoż — dodał Islam z żywością — nie oznajmił nam król polski wstąpienia swojego na tron? Czyż nie sądził nas godnymi, abyśmy dzielili radość jego? Byłbym wtedy kopnął nogą prośby fałszywego Kardasz Kazagi *), a Jan Kazimierz miałby był we mnie najwierniejszego sprzymierzeńca.

— Wymaga jednak przyjaźni z kozakiem święta sprawa islamu — odrzekł Dujnał, a oczy zapaliły mu się w religijnym fanatyzmie — bo od tego zależy rozszerzenie jedynie prawdziwej nauki proroka. Czyż zuchwały Kardasz nie uchylił czoła przed półksiężycem? czyż nie odmawiał razem z Tobą modlitew wieczornego namazu i nie zapewnił uroczyście, że wyznaje skrycie naukę proroka i tylko z obawy przed buntem kryje się z tem przed swoim ludem?

— Tem też tylko zniewolił mię do dania mu pomocy — odrzekł skwapliwie Islam — bo jedynie prawdziwą jest nauka Mohameda, ulubionego proroka wielkiego Allaha. Ale fałsz wężem wije się po jego czole — on udaje! Lecz biada mu! — dodał groźnie Islam — jeśli słowa jego wyszły kłamstwem z niewiernych ust jego. Na proch go zdepcę i podam na słuszną pastwę niewiernego sługę, co śmiał podnieść rękę na swego pana. *Złą on zginie śmiercią!*

Iskrzyły się czarne oczy chana i brew w groźny ściągnęła się łuk, a wstawszy, jął się przechadzać po namiocie.

— Wina! — rzucił rozkaz w kąt namiotu, gdzie czarnym cieniem rysowała się postać sługi.

Podał Dujnał coprędzej panu swemu złotą, rubinami wysadzaną czarę, pełną upajającego soku węgierskich gron, którą tenże wychylił aż do dna. Islam Giraj — wbrew zakazom proroka — nie pogardzał godowym trunkiem Polaków.

A wychyliwszy, ułożył się w złotych wezgłowiach, służących za łoże i jął rozmyślać nad odpowiedzią, którą ma dać sąsiedniemu bratu swojemu, polskiemu królowi.

---

Na drugi dzień rano dobywali Tatarzy szturmem Zborowa, na którym dużo zależało Polakom, dla nagromadzonych tam wozów jak i dla stawu, bo straciwszy go, nie byliby mieli do picia wody.

Odważnie broniła się dragonia p. Weterowa, lecz i Kozacy nacierali gorąco. Usypali bateryę, wywiedli działa, darli się oślep na wały i przez parkany, i trudno było wytrzymać ich potęgę, bo będąc w niezliczonej liczbie, coraz świeżemi zastępywali się siłami.

I do obozu przypuszczano szturm jeden za drugim. Zdesperowany król kazał zatrąbić na ochotnika, napominał, prosił, zagrzewał, i na czele zebranej czeladzi szczęśliwe robił wycieczki. Opanowano bateryę, wyparto

*) Nazwa B. Chmielnickiego pomiędzy Turkami. P. A.

z parowów nieprzyjaciela i niemało go ubito, przez co cokolwiek więcej otuchy wstąpiło w serca oblężonych.

Ku wieczorowi, przez tegoż samego jeńca, przyszedł następujący respons od chana:

„Z łaski bożej szczęśliwy, miłosierny, najjaśniejszy „Islam Gieraj chan, miłemu bratu naszemu pokój i „zdrowia dobrego powinszowanie. Naprzód, jako się Wa„sza królewska Mość masz, czyli źle, czy dobrze? Ja „życzę, abyś Wasza królewska Mość w szczęściu i zdro„wiu dobrem na potomne lata fortunnie panował. Przy„tem przyjacielski list doszedł nas od Waszej królew„skiej Mości, posłany w niektórych sprawach dawnych „i do przyjaźni należących, o niektórych upominkach „pisał Wasza królewska Mość słowo jedno a pewne. „Ale temu się dziwujemy, że Wasza królewska Mość „dotąd żadnego człeka nie przysłał, i jako mnie za „człeka, tak i państwo moje za nic sobie nie poczytał, „nie pomniąc na to, że kiedykolwiek przyjaźni naszej „będziesz potrzebował. Ale jakkolwiek rzecz się ma, „Myśmy w tu te kraje zimować przyszli; panu Bogu „się poleciwszy, na zimę tę gościem zostaniemy. Jeśli „Wasza królewska Mość gościowi i przyjacielowi swe„mu należące traktaty masz, wyszlij Wasza królewska „Mość pierwszego Wezyra swego, pana kanclerza; bę„dzie i z naszej strony, wyszlemy i My Wezyra naszego, „niechaj wiemy intencyę Waszej królewskiej Mości, a „jeżeli tedy wyszły w czesnej zgodzie, którzyby się za „słowa swoje niewstydali, przez fałsze żadna sprawa „na świecie nie stanie się. Ofiarujemy zatem przyjaźń „Nasze. *Islam Gierej Han.*"

Do tego listu dołączony był także list Chmielnickiego, w którem tenże tłumaczy się z postępków swoich, i obiecuje upokorzyć się i poddać woli królewskiej.

Wielka z tego powodu była radość w polskim obozie. Ożywiły się sposępniałe twarze, odżyły znękane serca, a król dziękując Bogu przypisywał to wszystko swojej modlitwie i przyczynieniu się Matki Najświętszej. Zwołał niezwłocznie panów do narady i następujący do chana wygotowano list:

„Doszło Nas pisanie Twoje, którem Nam przyjaźń „swoją ofiarujesz — tego wdzięczni jesteśmy, jednak „dziwna rzecz, że Nam z przyjaźnią ożywasz, a prze„cie i dziś po napisaniu tem na wojska nasze i obozy „następujesz. Że jednak potrzebujesz tego, abyśmy na „traktaty i rozmowę z temi, którzy od Ciebie nazna„czeni i wysadzeni będą, a osobliwie Wielmożnego kan„clerza naszego najwyższego koronnego, tedy my to „uczynimy, i zaraz go naznaczymy, tylko tego potrze„bujemy, aby tym czasem było zachowanie nieprzyjaźni. „A my gdy to uczynisz, wyszlemy zaraz Wielmożnego „p. kanclerza swego na miejsce pobliższe między obiema „wojskami, w każdy czas okazać chęć naszą gotowiśmy*).
*Joannes Casimirus Rex.*"

Zaraz tego samego jeszcze wieczora rozpoczęły się układy, a gdy noc zaszła, nadzieją ożywieni spokojnym snem zasnęli wojownicy polscy, a nad ich głowami czuwała opieka Matki Bożej.

We trzy dni potem przed namiotem królewskim, za długim szkarłatem okrytym stołem, wybrani z obu stron komisarze do ostatecznej zasiedli ugody. Przed nimi leżą spisane ugodne warunki, czerwone przy nich na jedwabnych sznurach pieczęcie, a w szczupłych kartach pargaminu ratunek Polski się mieści.

*) Listy Islam Giraja i króla Kazimierza dosłownie z ważnego dla dziejów polskich dzieła: Pamiatnyki izdannyje wremennoju komyssyjeju dla razbora drewnych aktow. Kijew 1848. II. str. 454 — 461. P. A.

Jeszcze nie wszystkie obsadzone krzesła, na których poważne zasiadły postacie. Obciera czoło pan Kisiel, bo twarda była z Kozakami sprawa, trudniejsza nierównie, aniżeli z pogańskim chanem Krymu. Ten żądał tylko przyjaźni i złota, a gdy mu go dano, podał rękę do uścisku — tamci wymagali swobód, na które z trudnością zgodziła się duma królewska. Darowano winę Zaporowcom i pozwolono im własne w liczbie 40.000 utrzymywać wojsko: a jednak pomimo spełnienia ich życzeń nie chciał przybyć do obozu polskiego podejrzliwy ich wódz, póki nie zostawiono w zakład kozactwu pana starostę krakowskiego.

Oparty przy karym koniu stoi barczysty chmurnego lica mężczyzna w stroju kozackim — to Chmielnicki. Ciemne jego oko niepewnem miga spojrzeniem, bo nie zna szczerości fałszywe serce buntownika; a jednak dużo odwagi i siły spoczywa w tych twardych śniadych rysach, co w cielesnej osłonie zwierciedlą wiernie namiętną duszę kozackiego wodza.

W tej chwili z namiotu królewskiego wychodzi p. kanclerz Ossoliński. Poważne oblicze zwrócił na stojącego hardo byłego setnika, a ten co prędzej chwyta za czapkę futrzaną i w żylastych mnie dłoniach. — Przyzwyczajony do zginania karku sługa, nie może z nakrytą głową patrzeć w oblicze pana.

Skinął lekko głową p. Ossoliński i na próżnem zasiadł miejscu. Obok niego, w bogatym wschodnim stroju, Sefer Kasi Aga, atałyk czyli wielki wezyr tatarski, i Sulejman Aga, zakładnik chańskiego słowa — dalej p. wojewoda Kisiel i p. podkanclerzy litewski Sapieha, otoczeni licznym pocztem panów i obozowych towarzyszy.

Przeczytano i podpisano warunki na znak trwałej zgody i przymierza, a Chmielnicki ciągle stoi z czapką w dłoni, i niespokojnym okiem śledzi pobliski namiot królewski. Aż się zatrzęsła barczysta postać jego, gdy po chwili rozsunęła się szkarłatna ściana namiotu, i z dumą i powagą ukazał się Jan Kazimierz.

Surowe było oblicze króla, gdy je zwrócił ku twarzy tego, co w mściwem szaleństwie wichrzył spokojem Polski. Zadrżał Chmielnicki pod wzrokiem sędziego, i rzucając się do nóg królowi zawołał z łkaniem:

— Co się stało, królu miłościwy, to się stało. Przebacz!

I ściskając z płaczem nogi królewskie, prosił o przebaczenie, a król widząc pokorę, łaskawszem spojrzał nań okiem. W imieniu króla odpowiedział mu p. podkanclerzy litewski, odpuszczając mu błędy jego i upominając, aby wiarą i cnotą nagradzał królowi i rzeczy pospolitej uczynione krzywdy, co Chmielnicki święcie przyrzekł, i siadłszy na konia, zaprzysiągł w ręce pana wojewody kijowskiego.

— Wielki jest Allah i wspaniały chan wasz, najprzedniejszy z panów narodu Jezusowego — ozwał się po odejściu króla do pana kanclerza Ossolińskiego atałyk chański — lecz do utwierdzenia między nami trwałego przymierza brakuje jeszcze okupu załogi Zbaraskiej, która nam dwakroć stotysięcy wypłacić obiecała.

— Wszakże przyrzekliście bez rabunku i łupieży wracać do waszych siedzib, i odstąpić od oblężenia Zbaraża! — odrzekł marszcząc brwi p. kanclerz.

— Prawdą wychodzą z ust słowa twoje, zacny wezyrze — odrzekł z chytrym uśmiechem Tatarzyn — ale czyż podobna odrzucać złoto, kiedy samo ciśnie się do ręki?

— Wspaniały jest król polski, pan mój miłościwy — odrzekł poważnie p. Ossoliński — i wypłaci wam wszystko, co przyrzekli oblężeni. Lecz czy przyrzekli, dowiemy się zaraz, bo widzę właśnie wracających po-

słów, których wysłaliśmy z zapytaniem do Zbaraskiego zamku.

W tej chwili, okryty kurzem, ukazał się ogromnego wzrostu młody towarzysz szlachecki, i wstąpiwszy w dostojne zgromadzenie, z uszanowaniem czekał zapytania. Był to p. Minor, który w towarzystwie lwowskiego pisarza ziemskiego jeździł w poselstwie do Zbaraża.

— Jakąż nam przywozisz odpowiedź? — zapytał w niespokojnem oczekiwaniu p. kanclerz.

— Wyłajali nas Zbarażanie i źle uczcili posłów królewskich — odpowiedział p. Minor, z uśmiechem zadowolenia poprawiając rudego wąsa. — Dali nam odpowiedź, że póki im sił stanie i broni w ręku, póty bronić się będą i nie poddadzą się. Okupu żadnego nie obiecywali i nie dadzą, chyba na krwi nieprzyjacielskiej lub ich własnej.

Dzielni rycerze! — zawołał Ossoliński i oczy zajaśniały mu dumną radością; a obracając się do Sefer Agi, zapytał:

— I cóż mówi na to wielki wezyr wielkiego chana?

— Mężnych ma obrońców wspaniały car nazareńskiego ludu — odrzekł układnie wezyr — a pan mój miłuje zanadto swego królewskiego brata, aby to rozerwać miało węzeł zawartej między nimi przyjaźni.

Ucieszył się pan Ossoliński odpowiedzią, która zakończyła przerwane ugody, a gdy się żegnał pełnomocnik chana, wręczono mu kiesę bogatą z 2500 czerwonych złotych, jako upominek od króla, którą Sefer Aga z wdzięcznym przyjął uśmiechem.

Wspaniałem futrem odziany, powrócił udarowany wezyr do chana, i złożył mu podarki królewskie: szablę turecką w złoto oprawną i drogiemi kamieniami wysadzaną, przytem siedzenie i rząd bogaty. Chan nawzajem królowi tarantowatego konia przesłał w upominku, sahajdak z łukiem tureckim i strzałami, i więźniów niektórych. Jako zakładnicy zaś pozostali ze strony polskiej zięć p. Ossolińskiego, Zygmunt Denhoff starosta Sokalski, ze strony tatarskiej zacnego u nich urodzenia młody Sulejman Aga.

Tym sposobem zakończyła się szczęśliwie pod tak smutnemi wróżbami rozpoczęta bitwa pod Zborowem, a król na pamiątkę pomocy, której doznał od Boga, zostawił na wieczne czasy kapłanom w Krakowie fundusz z intraty żup solnych w Wieliczce.

---

Na tem kończymy opowiadanie o p a n i ę c i u  p o g a ń s k i e m, związanem jak widzimy ściśle z dziejami Polski w chwilach stanowczych i ważnych, które jak najwierniej opisać staraliśmy się.

Jak Islam z dziejami Polski, tak Ostap związany był znowu z dziejami tatarskiego chana. Napad jego w kraje polskie pozbawił go ukochanej żony, którą popędzono w jasyr jak tyle innych nieszczęśliwych ofiar — napad powtórny w długie lata potem, powrócił mu znowu szczęśliwym trafem jego Hankę przy zamianie więźniów.

Młodzi, urodziwi, szczęśliwi — znaleźli się znowu przygnieceni ciężarem lat i klęsk przebytych, co im zabrały i siłę i zdrowie. Znaleźli się znowu, i zaledwie się poznali.

I poszli oboje na miejsce dawnego mieszkania, gdzie kupa gruzów zarosło głogiem i cierniem. Tam pod krzaczkami leszczyny pochowała stara Ołena zmarłe ich dziecko; tam i jej kości spoczywają od lat wielu; tam więc najdroższe mieszczą się dla nich pamiątki. . . .

Lecz gdy odwiedzimy to samo miejsce w kilka lat potem, nie równie weselszy przedstawi się nam obraz. Obdarowany przez pana kanclerza Ostap obok gruzów porządną wystawił chatę, około chaty schludne budynki, i porzuciwszy rzemiosło wojenne, oddał się pracy rolniczej. Przeszłość, wypisana na twarzy jego licznemi bliznami, wojenna, burzliwa, ustąpiła spokojniejszej teraźniejszości — zamiast bojowej wrzawy dolatuje go głos weselących się dzieci — miasto broni, odłożny pług czeka na jutrzejszą robotę.

Dziś właśnie, w wieczór pogodny i cichy, w pięć lat po Zborowskiej bitwie, znużony całodzienną pracą Ostap usiadł na przyzbie przed domem. U nóg jego najstarszy synek usnął zmęczony; obok siedział druh kozak, wracający bez ręki z wojennej wyprawy, i przyniósł wieść o śmierci tatarskiego chana Islam Giraja.

Zadumał się Ostap, podparł głowę na ręku, i patrząc na szumiący opodal Dniestr, jął myślą dawne przebiegać lata. Jakby żywe stanęły przed duszą Kozaka postacie dzielnego Stefana Chmieleckiego, zuchwałego Chmielniczeńki, łaskawego nań p. kanclerza Ossolińskiego, tatarskiego chana Islam Giraja — a każda żywem wspomnieniem opowiadała mu osobny okres z dziejów burzliwego życia jego.

A gdy wieczorna zeszła gwiazda i krzątająca się Hanka zawołała do wieczerzy pana domu, wieńcem obstąpili go żona i dzieci i towarzysz wojenny, a on opowiadał im długo w noc o latach wojaczki i Islam Giraju, dobrem panisku pogańskiem. 1859.

---

# ROZMAITOŚCI.

Kiedy młodzież, pracująca w jakichkolwiek przedmiotach na wydziałach uniwersytetów naszej prowincyi, znajduje wsparcie w licznych stypendyach, które sobie pilnością wyrobić może; kiedy artyści obiecujący piękną przyszłość mają mecenasów ułatwiających im sposoby wydoskonalenia się, wysyłając młodych adeptów sztuki za granicę, zostają jeszcze dotąd ci z młodzieży, którzy się poświęcają studyom w rzeczach polskich, jak n. p. literaturze narodowej lub filologii słowiańskiej, bez opieki i wsparcia, i znikąd żadnej nie otrzymują pomocy.

Język i literatura polska już w gimnazyach uważane bywają za coś podrzędnego, tak ze względu na katedry jak i ze względu na uczniów. Pierwsze powierzają się często ludziom, którzy o rzeczy mają niedostateczne tylko pojęcia, a to z tej przyczyny, ponieważ przez cały ciąg studyów w innym pracowali zawodzie — dyrekcye zaś dla niedostatku nauczycieli biegłych w tych przedmiotach, zmuszone są obsadzać katedry ludźmi, posiadającymi tylko dorywcze wiadomości w tej gałęzi nauk. Drudzy t. j. uczniowie, jak z jednej strony przez zbytnie pobłażanie nabywają lekceważenia tych umiejętności, tak z drugiej przez nieuwzględnianie celowania w tychże, tracą chęć do pracy, i już od pierwszych niemal klas nie zajmują się niemi tak szczerze jak innemi.

Na uniwersytecie język i literatura polska równie podrzędną grają rolę. Są to niby jakieś przedmioty nadzwyczajne, dla których nie ma osobnych egzaminów i tylko doczepiają się do głównych przedmiotów. Młodzież więc poświęca cały czas i pracę innym przedmiotom, które jej prędszą zapewniają przyszłość, i nawet już w czasie studyów podają pomoc przez stypendya, a uczęszcza na wykłady polskie tylko z wewnętrznego pociągu, znamionującego jej dobre chęci.

Jest to złe bardzo ważne, które jeszcze gorsze skutki wiedzie za sobą, zostawiając tylko dwie ostateczności. Ci, którzy nie troszcząc się o powołanie wewnętrzne, starają się tylko o chleb jak najprędszy, zaniedbują zupełnie kształcenia się w rzeczach polskich, zdają egzamina prawnicze lub filozoficzne, i opuszczają uniwersytet, znając lepiej mowę, historyę i literaturę Greków i Rzymian, niż język, w którym się uczyli wymawiać pierwsze słowa, niż dzieje i literaturę narodu, do którego należą. Inni ulegając bezwzględnie wewnętrznemu przekonaniu i zamiłowaniu, rzucają się z zapałem w przeciwną stronę. Ale cóż się dzieje? — Oto będąc zmuszeni walczyć z potrzebami codziennego życia, tracąc drogi czas na uczeniu abecadła cudzych dzieci, nie zdołają odpowiedzieć obowiązkom swoim, zaniedbują się w innych studyach, tracą chęć, i nakoniec opuszczają zakłady naukowe przed czasem. Ztąd dalsze skutki. Prywatyzując chwytają co prędzej za pióro, bez przewodnictwa i gruntownej systematycznej podstawy naukowej rzucają się w w obłędzie w różne strony, zasypują czasopisma niedowarzonemi pomysłami, a nakoniec albo wyrabiają się na samouków jednostronnych, płaskich i zarozumiałych, albo błąkaniem się znużeni, puszczają się na pole łatwiejsze i wdzięczniejsze, jak twierdzą, literatury beletrystycznej, i stają się najczęściej lichymi, bardzo lichymi pisarkami. Jeniusze, ludzie o nadzwyczajnych zdolnościach, a przytem żelaznej pracy i woli dochodzą wprawdzie i na tych ciernistych bezdrożach do wielkich rezultatów, ale na jeniusz składa się wiek cały, a tu chodzi o ogół kształcących się w przedmiotach polskich i mających w przyszłości zostać nauczycielami słowem lub piórem. Nie mówimy tego w tej myśli, jakobyśmy nie byli najmocniej przekonani, że system naukowy odpowiada zupełnie wymaganiom dzisiejszej oświaty; przeciwnie, zwracamy tylko uwagę na to, że prywatna pomoc nie wspiera usiłowań rządu i dobrych chęci młodzieży.

Mamy stypendya dla uczniów, celujących w przedmiotach prawniczych, w filologii starożytnej, chemii, matematyce i t. d., dlaczegoż nie mamy stypendyów dla tych, którzy celują w literaturze i filologii narodowej? dla czego ci tylko byli i są zapomnieni przez tylu dobroczyńców, którzy znaczne fundusze legowali na szlachetny cel dopomagania kształcącej się młodzieży? Kilka takich stypendyów, choćby najlichszych, zmieniłoby postać rzeczy. Przedmioty polskie byłyby zrównoważone z innemi, młodzież miałaby ułatwienie i zachętę do pracy w tym zawodzie, mielibyśmy profesorów, którzyby godnie mogli zajmować katedry polskiego języka i literatury, i większą nierównie ilość pisarzów wytrawnych i gruntownych w tych przedmiotach, niż dzisiaj, kiedy to ich wszystkich na palcach policzyć można.

Obecnie utworzone zostało dwuletnie stypendyum po 600 złr. rocznie dla ucznia kształcącego się w Pradze w filologii słowiańskiej, jednak z wyraźnem zastrzeżeniem, że o nie tylko Rusinom ubiegać się wolno. To nas właśnie spowodowało do napisania tych kilku słów w nadziei, że się znajdą i u nas obywatele zamożni i miłujący literaturę ojczystą, i pójdą za przykładem Rusinów, uznając ile zbawiennych skutków dla kraju wywołałaby ich wspaniałomyślna ofiara. L. L.

**Sprostowanie.** W numerze 5 Czytelni w artykule p. A. Małeckiego:

| | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Str | 39 | kol. | 1 | w. | 13 | nie | rodzaju greckiego, | tylko: | rodu greckiego. |
| „ | 39 | „ | 2 | „ | 41 | „ | nareszcie | „ | narzecze |
| „ | 40 | „ | 1 | „ | 24 | „ | Gorard | „ | Gorazd |
| „ | 40 | „ | 2 | „ | 46 | „ | w IX i w XII stuleciu, | „ | w IX i następnych aż do XII stulecia. |

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.